



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Mieczysław Andrusiuk

Dramat w czterech aktach

Moje wojenne wspomnienia zawarte będą między bombardowaniem przez Niemców fabryki samolotów w Białej Podlaskiej 1 września 1939 roku a rokiem 1947, w którym wraz z zakończeniem akcji „Wisła” skończył się dla nas czas strachu wojennego. Dla uporządkowania tematycznego moich zapisków dzielę je na cztery oddzielne nurty, a to: wspomnienia związane głównie z Niemcami, z „ruskimi”, „ukraińskie”, „partyzanckie”.

Niemcy

Szedł mi czwarty rok, gdy pogodnym rankiem koło naszej studni zebrała się grupka kobiet załamujących ręce i modlących się. Wtedy wraz z oddalonym hukiem wybuchów usłyszałem słowo „wojna”. Mój tata miał kategorię wojskową kwalifikującą go do służby pomocniczej. Zmobilizowany – opuścił dom, aby po dwóch czy trzech dniach wrócić, bo okazało się, że nie był potrzebny. Wszystko tak jakoś ucichło. We dworze zmienił się „pan”. Dwór w mojej wsi Witulin był ongiś własnością rodziny Wężyków (Kazimierz – poseł na Sejm Czteroletni, Franciszek – poeta i pisarz, też poseł mający miejsce w każdej encyklopedii, władał dobrami w mojej wsi w latach 1814-1831). W czasie okupacji panem na tych dobrach został Stepun (nie znam pisowni), niemiecki inwalida wojenny. Pole mojego ojca przylegało bezpośrednio do majątku dworskiego, więc widywałem nowego „pana” objeżdżającego konno swoje włości. Wydawał się być normalnym człowiekiem, ale faktycznie był ostry – tak mówili ludzie. Chodząc do kościoła przechodziłem obok dworskich czworaków, które były przykładem autentycznej nędzy (jedna kuchenna izba z glinianą podłogą). Na czas spiętrzeń robót polowych – żniwa, wykopki – dwór korzystał z robocizny ludzi ze wsi. Wszyscy pracujący „na pańskim” po skończonej dniówce dostawali zamiast pieniędzy karteczki, za które w miejscowej gorzelnii późną jesienią pobierało się gorzałkę. Po wojnie mówiono, że „Niemiec rozpijał Polaka”, a ja pamiętam, że nikt na takie rozwiązanie nie narzekał.

Innym wyróżnikiem okupacji było kolczykowanie w gospodarstwie całego inwentarza. Przychodził do gospodarza, a później z nim do chlewni czy obory jakiś urzędnik z policjantem (żandarmem) i dziurkaczem wycinał w uchu krowy, świni czy owcy otwór, następnie przykładł podkówkę blaszaną i szczypcami ją zaciskał. Dal mnie, paroletniego dziecka, był to najpierw szok – jak można żywcem wycinać dziurę. Później blaszka fascynowała – tak ładnie, srebrzyście błyszcząca się w uchu. Następnym wspomnieniem kolczykowania jest kombinowanie taty, a także sąsiadów, w jaki sposób zdjąć kolczyk i przełożyć na inne

mniejsze ucho, co było praktyką dość powszechną. Jeszcze inną tajemnicą było przechowywanie w stodole w sianie przedwojennego roweru. Pamiętam, że był granatowy z piękną tabliczką firmową.

Prawdziwa codzienna dolegliwość wojny zaczęła się dwa lata później, kiedy Niemcy spalili wieś Kaliłów, w której było gospodarstwo siostry mojego taty. Ciotka, wujek i ich troje dorastających dzieci znaleźli się w naszym domu. Pięć osób bez środków do życia przebywało u nas do końca wojny. Dlaczego spalono Kaliłów? Z powodu ruskich. Niemcy w Woskrzenicach zrobili obóz jeniecki. Polacy powodowani litością wspomagali jeńców resztkami jedzenia. Były próby ucieczki z lagru, sąsiednie wsie m.in. Kaliłów ułatwiały ukrywanie się, więc je spalono.

W niedługi czas przybyła do nas rodzina mojej mamy, tj. moja babcia ze swoim dorosłym synem i też ukrywali się u nas do końca wojny. Dlaczego musieli ukrywać się? Także przez ruskiego. Wujek wpół ukrywał, a wpół jawnie przechowywał zbiegłego z obozu jeńca wojennego, zatrudniając go jako parobka w gospodarstwie. Pewnego dnia dostał informację z wiejskiego posterunku policji, że ktoś doniósł o przechowywaniu jeńca i żandarmeria robi akcję. Natychmiast wszyscy opuścili gospodarstwo udając się w „nieznanym kierunku”. Szczęśliwie więc bez ofiar w naszym domu przeżywały wojnę trzy rodziny.

Ofiara śmiertelna w naszej rodzinie trafiła się w 1943 roku. Siostra mojego taty wydała córkę za Celińskiego ze szlacheckiej wsi Solinki. Był to tak jakby zaścianek, gdyż mieszkali tam sami Celińscy i Dembowscy. Działal tam też ruch partyzancki, gdyż po napadzie na żandarmów jadących koleją wąskotorową (2 kilometry od nas i 3 kilometry od Solinek), nastąpiła pacyfikacja tej wsi. Wszystkich mężczyzn, którzy dali się złapać i część kobiet wywieziono na Gestapo, skąd nie wróciło już do swoich rodzin 27 osób, w tym mąż Jadźki. Ich pomnik stoi pośrodku wsi.

Przedostatnie niemieckie wspomnienie to cofanie się frontu wojsk hitlerowskich w lipcu 1944 roku. Niedaleko nas, między naszym domem a kościołem, rozłożyła się niemiecka bateria dział. Strzelanina trwała chyba trzy dni. My i sąsiedzi obok schroniliśmy się do jeszcze innych sąsiadów (też obok) w ich betonowej piwnicy. Pozostawało mi nieco zatarte wspomnienie z pobytu w jednym pomieszczeniu kilkudziesięciu osób z pościelą. Do teraz nie wiem czy to prawda co mówili moi starsi koledzy, że widzieli jak latają pociski artyleryjskie. Ja ich nie widziałem, ale duże wrażenie robiły (po wycofaniu się hitlerowców) stopy błyszczących łusek artyleryjskich rozbieranych później przez sąsiadów. Tuż po przesunięciu się frontu przez nasze pole przechodził i skrył się pod naszą polną jabłonią niemiecki maruder. Sąsiedzi i mój tata zastanawiali się czy go zabić, ale przeważało chrześcijańskie miłosierdzie. Dzięki temu mam teraz komfort psychiczny, że nasi mogli bezkarnie zabić jednego ze swych byłych prześladowców, a jednak darowali mu życie.

Wywózka do Niemiec na roboty też dotknęła naszą rodzinę. Syn ciotki, Janek, w wieku 15 lat został wywieziony do bauera. Po powrocie opowiadał, że było nieźle, jeść mieli co, a Niemki starsze i młodsze (na wsi) chodziły bez majtek, a jak siadały to w sposób kusicielski. Te opowiadania budziły u nas fascynację. I do dziś nie wiem czy lepiej ukrywać się o głodzie czy być wywiezionym na roboty...

Rozdział ruski

Bolszewików znałem z opowiadań od najmłodszych lat. W tych opowieściach mieli oni karabiny na sznurkach, a jak uciekali z Polski to jeden jechał na koniu, a czterech biegło obok trzymając się za koński ogon. Następny etap poznawania ruskich to „plenni” i związane z nimi nieszczęścia rodzinne opisane w poprzednim rozdziale. Na podstawie informacji rodziny, która miała bezpośredni kontakt z lagrem dla ruskich, rodziło się we mnie głębokie współczucie dla tych biednych, głodujących ludzi. Te uczucia wyższości i współczucia przytłumione zostały następnymi wydarzeniami, które miały miejsce niedługo przed wyzwoleniem. Było to w czerwcu 1944 roku. W mojej obecności opowiadano jak „kropnięto” ruskiego na skraju lasu. Było to spore osiągnięcie naszych zbrojnych, bo jeszcze trochę, a byłby skurczybyk uciekł do lasu. Tak to komentowano. Pochowano go na skraju lasu. Podobno był to jeniec. Mój osobisty udział w tym zdarzeniu był taki, że następnego dnia byłem nad tą mogiłą. Długo stałem i bezwiednie pooblamywałem kijem gałązki w obu sosenkach posadzonych na grobie.

Inne wydarzenie wzbudziło mój respekt do ruskich. W zbliżonym czasie słuchałem relacji o polowaniu na drugiego ruskiego, ale chyba już nie jeńca, bo był bardzo dobrze uzbrojony. Był to prawdopodobnie zrzutek. Ostatni epizod obławy rozegrał się w oborze dalszych sąsiadów. Budynek był murowany i na wszystkie cztery strony miał małe okienka. Tam właśnie nasi go dopadli. Przez pierwsze godziny myśłano, że jest tam kilku ruskich, bo strzelano z okienek we wszystkie strony. Dopiero po wszystkich okazało się, że był tylko jeden, ale z dużą ilością amunicji i on to biegał od okienka do okienka strzelając do naszych. Ten akt waleczności i to, że to właśnie ruscy pędzili Niemca, wzbudził we mnie szacunek do nich. Podziw dla ich techniki miałem od czasu, gdy na dworskim rżysku o 40 metrów od nowego domu, w lipcu czy początku sierpnia 1941 roku wylądował radziecki samolot, a po godzinie odleciał jak jakieś nadprzyrodzone zjawisko.

Tak to kształtują się ludzkie wyobrażenia – od poczucia wyższości po szacunek, od uciekających trzymających się końskiego ogona po samolot siadający, aby można go dotknąć ręką, a później ulatujący w niebo z ruskimi.

Rozdział ukraiński

Pierwszy niepokój w 6-letnim chłopcu zasiała moja ciotka, dużo złego mówiąc o Ukraińcach. Między naszym domem a domem rodzinnym mojej mamy była wioska ukraińska. Przejeżdżało się koło cerkwi. Tą obcość czułem od najmłodszych lat. Ciotka opowiadała, że teraz Ukraińcom wydaje się, że są górą i każą Polakom uciekać z ich własnej ziemi.

Pewnego dnia wymordowana została rodzina naszych sąsiadów – Celińskich. Ludzie domyślali się, że zrobili to Ukraińcy. Żyliśmy w strachu, że i do nas może przyjść „banda”. Bano się „bulbowców” i to zarówno w czasie wojny, jak i po jej zakończeniu. Po wojnie dwa czy trzy razy nasz dom nadchodziła „banda”. Rabowali żywność (zabijali świnie) i lepsze ubranie na zimę, zabrali buty i kozuch. Przychodzili w nocy i kazali wszystkim domownikom leżeć twarzą do podłogi. Później dokuczano mi, że dałem się nabrać, bo kiedy leżałem twarzą w dół to położyli mi na plecach jajko i powiedzieli, że to granat, żebym się nie ruszał bo wybuchnie. Ja im uwierzyłem, co przez wiele lat w naszym domu było powodem do kpin.

W 1947 r nastąpiła wywózka Ukraińców. Mój tata też ich wywoził. Teraz czytam o rozczulaniu się nad Akcją „Wisła” i myślę, że coraz mniej ludzi zna realia tamtych czasów...

Wspomnienia partyzanckie

Mój dom rodzinny wybudowany był na tzw. Kolonii. Po wschodniej stronie ciągnęła się wstęga zagajników, a z pozostałych stron co 200-400 metrów rozrzucone były gospodarstwa. Nasze duże gospodarstwo było miejscem trzech krótkich (1-2-dniowych) biwaków partyzanckich. Oddziały liczyły po kilkanaście osób. W czasie biwaku każdy sąsiad, który do nas przyszedł (za jakąś gospodarską sprawą) był zatrzymany, aż do odejścia oddziału.

Dla mnie wspomnieniem do dziś jest trzymanie broni partyzanckiej we własnych siedmioletnich rękach. Była ona zaskakująco ciężka w porównaniu z drewnianym kijem służącym podczas zabaw za karabin. Do dziś dla mnie nie wyjaśnioną sprawą jest, iż partyzanci dysponowali dużą ilością broni i amunicji. Po jednym z biwaków zostawili nawet karabin, z którego moi kuzyni strzelali później do czapki zawieszanej na belce wewnątrz stodoły. A amunicji to było zatrzesienie.

Niewyjaśnioną sprawą jest akcja leśnych na dwór, na dwa tygodnie przed wyzwoleniem naszej wsi, co nastąpiło pod koniec lipca 1944 roku. Mówiono, że Niemiec uciekał w samych gaciach, gdyż napad miał miejsce w nocy. Też nocy podpalono 300-letni dwór – pałac, dworską oborę z zamkniętymi w niej krowami i stajnię z zablokowanymi tam końmi. Dla mnie szokiem było, gdy następnego dnia widziałem na wpół wypaloną klacz z poronionym źrebkiem. Sterta gruzów po modrzewiowym, zabytkowym pałacu, była dla mnie przez długi czas codziennością, gdyż w domu dworskiego rządcy po wojnie zrobiono szkołę, do której chodziłem. Przed okupacją wieś posiadała szkołę z jedną izbą lekcyjną. Po wojnie doszły jeszcze 4 izby w domu rządcy.

Ostatni akcent działalności podziemia w naszej wsi miał miejsce w 1947 roku. W nocy przyszedli do sołtysa, wyprowadzili go za stodołę i zastrzelili. Później w miejscu tym postawiono pomnik nagrobny.